Ner 7. Kraków, dnia 1go Kwietnia 1875. Rok VII.

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1go i 16go każdego miesiąca. — Włościanin kosztuje rocznie Złr. 3 w. a., półrocznie Złr. 1 cen. 50, kwartalnie cen. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“ — płaci za oba pisma: rocznie Złr. 4 cent. 60, półrocznie Złr. 2 cent. 30, kwartalnie Złr. 1 centów 15. — W Prusach i w Poznańskiem kosztują 3 talary.

(Zagroda wychodzi 8go i 24go każdego miesiąca.)

Kalendarz.

1. C. Hngona bisk.	5. P. Zwiast. N. M. P.
2. 6. Franciszka z Pauli.	6. W. Celestyna p.
3. S. Ryszarda biskupa.	7. Ś, Epifaniusza b.
4. N. Przew. Izydora,	8. C. Dyonizego b,

Adres: Do redakcyi „Włościanina“ Plac Dominikański, Ner 486, III. piętro.

ODEZWA

do Szanownych P. T. Czytelników „WŁOŚCIANINA“ i „ZAGRODY“.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Temi najmilszemi i najserdeczniejszemi staropolskiemi słowy, witam Was Szanowni Czytelnicy. Prawdziwie, słów mi brakuje dla okazania prawdziwej przychylności, szczczerej i serdecznej życzliwości Szanownym Czytelnikom pożytecznych pism „Włościanina“ i „Zagrody“, których tytuł ma stósowną nazwę, aby tylko nasi bracia rolnicy, rodacy i ziomkowie szczerze się z niemi zapoznać i w domach swych licznie przyjąć i powitać chcieli.

Włościanin poucza nas, jak prowadzić życie wiejskiego zacisza, dalekiego od chaosu miejskiego zacisza, dalekiego od chaosu miejskiego w bojaźni bożej, miłości bliźniego, uczciwości, trzeźwości i oszczędności, jak pracować w ziemi naszej korzystnie, jak ją poznać lepiej, by tym sposobem podnieść gospodarstwo wiejskie w całym kraju.

Zagroda wstępuje także do zagród i domów naszych, uczy nas, jak znać i miłować zagrody nasze, ojcowiznę naszą, tj, spuściznę po rodzicach, domy nasze, rodziny i miejsce rodzinne, uczy nas także, jak znać i miłować naszą drogą ojczyznę, tj. nasz cały kraj, by miłować bez różnicy stanu i pochodzenia wszystkich naszych współrodaków, ziomków i swojaków, by przeciwnie tych, którzy w jakimkolwiek stanie się znajdują, z którejkolwiek strony kraju naszego rodzinnego przybyli, zmieniwszy miejsce i stanowisko jakiekolwiek i gdziekolwiek zamieszkali, mówię wszystkich chrześcian-katolików-Polaków, nie nazywać ich przybłędami, czyli po prostu przywłokami, jak to zupełnie ciemni nierozumni ludzie zwykli są czynić.

I któż zaprzeczy, że nasz kraj polski, nasza ojczyzna, nie jest nam drogą i miłą? — Tu porodziliśmy się na polskiej ziemi, od urodzenia mówimy do naszych matek polskim językiem, polskie nam dano imiona i nazwiska, polska nas ziemia żywi i przyodziewa, polskie mamy zwyczaje i obyczaje, ta polska ziemia zmieszana jest z prochami ojców i praojców naszych; czyż i nas kiedyś ta polska ziemia nie przykryje. — Wprawdzie wielu z nas znamy naszą ojczyznę ziemską, lecz chciejmy ją wszyscy lepiej poznać, a przez to więcej ją miłować, byśmy kiedyś spełniwszy tu nasze obowiązki chrześcian-katolików-Polaków, do niebieskiej ojczyzny tem pewniej trafić mogli, dla tego korzystajmy z drogiego nam czasu, starając się o pokarm nietylko dla ciała, lecz i dla ducha przez czytanie dobrych książek i pism, a najpewniej staniemy się lepszymi, Bogu milszymi, bliźnim naszym i krajowi pożyteczniejszymi, i byt nasz zabezpieczym sobie. — Prawda, że różnie się dzieje na tym bożym świecie; Bóg, jako szafarz swych łask i niezliczonych darów, będąc w swej mądrości niepojęty, udziela jednym więcej, innym zaś mniej.

Słuszna jest, bo pytam się, cóżby było natenczas, gdyby wszyscy zamożnymi i bogatymi byli? — On postanowił różne potrzebne stany, które wzajem sobie pomagają. On dał nam wolną wolę, zdrowie, siły; dał nam rozum, który oświecać i doskonalić winniśmy, by byt swój polepszyć, a jeżeli zaś, mogąc mieć więcej, posiadamy mniej, jeżeli mogąc być doskonałymi, oświeconymi i rozumnymi — niedoskonałymi,

i nieoświeconymi jesteśmy, winniśmy sobie sami! dla tego ocućmy się, jakby z letargę i bierzmy się szczerze i chętnie do nauki, pracy i oszczędności, a w kraju naszym dobrobyt zakwitnie. Weźmy się tylko szczerze do nauki! Czyż światło słoneczne, światło boskie nie wszystkich jednakowo otacza? nie wszystkim jednakowo przyświeca? tak bogatym, jak ubogim, tak starym jak młodym, tak wielkim jak i maluczkim. Nie bądźmy zacofanymi i niższymi od innych narodów, — nie dajmy się wyzyskiwać od innowierców, ludzi bez serca i miłości, bez czci i wiary, niech ciągle powtarzane wyrazy: „ciemnota ludu“ raz na zawsze przepadną. Wszak mamy teraz wiele sposobności nabywania coraz więcej więcej nauki przez bliski stosunek ze szkołą przez czytanie dobrych i pożytecznych książek i pism. Zachęcajmy i starajmy się jak najusilniej, by młodzież licznie i pilnie tak na naukę codzienną, jako też i powtarzającą do szkoły przez cały rok uczęszczała, gdzie uczy się prawdziwej mądrości, bo bojaźni Boga, miłości bliźniego, poznania własnej ojczyzny, poznania sąsiednich państw i krajów, poznania ziemi, dzieł boskich, dzieł natury i wiele innych potrzebnych i pożytecznych wiadomości, oprócz tego czci rodziców, szanowania starszych, poszanowania cudzej własności, zamiłowania w pracy wiejskiej, szanowania zdrowia. Tem uszlachetnia się serca młodzieży i zaszczepia wszystko dobre, cokolwiek do życia ziemskiego i przyszłego jest potrzebnem.

Bóg stworzywszy nas z prostą w górę ku niebu postawą, wskazał tem, jakby palcem swym że nie tu jest nasz cel życia, odróżnił nas od niemych zwierząt, dał nam przez to poznać, że jesteśmy wyższemi istotami, obdarzonemi rozumem; dał nam przez to poznać, byśmy takowy coraz więcej przez całe życie oświecali; dał nam przez to poznać, że naszym celem jest wznieść się kiedyś w niebo do Stwórcy, z nim się połączyć i wiecznej radości używać,

Chciejmy więc odtąd bliżej w siebie wglądnąć, w czem zawiniliśmy i w czem się zaniedbaliśmy; z drugiej zaś strony starajmy się z całych sił naszych, z całą potęgą duszy, dobrze czynić, własnym przykładem przyświecać i do dobrych czynów wszystkich pobudzać i zachęcać. Komu więc nie jest obojętną pomyślność kraju i tak ważna sprawa, jaką jest oświata ludu, niech dokłada starań, aby przedsięwzięcie nasze zyskało w przyszłości lepszy byt moralny i materyalny, albowiem chcąc dojść do celu i osiągnąć pomyślny skutek, nie potrafi ani jednostka, ani nawet kilku razem, jedynie tylko powieść się może przedsięwzięcie, gdy je podejmiem połączonemi siłami.

Do Was to Przewielebni Kapłani, Szanowni P. T. Panowie i Obywatele odzywam się z głębi mej duszy! wspierajcie nasze prace i chęci szczere, słowem i czynem, dorzućcie cegiełkę do oświaty, a wybudujem gmach, który będzie stał silny i niewzruszony, by o nas przyszłe pokolenie nie wspominało, żeśmy zaniedbali, tudzież, byśmy doznawszy tego wewnętrznego przekonania i spokoju duszy, schodząc z tej pielgrzymki życia, dali świadectwo prawdy, żeśmy nie żyli dla siebie, nie służyli sobie, lecz Bogu i Ojczyźnie.

Niechaj świeci światłość Wasza przed ludźmi, aby widzieli uczynki Wasze dobre i chwalili Ojca, który jest w niebiesiech.

Pisałem w Tarnowcu d. 3 marca 1875.

Józef Kamiński *naucz. ludowy.*

Sądowa licytacyja.

Obrazek z życia ludu wiejskiego,

opowiedziany przez

MAKSYMILIANA ZDULSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Rok cały minął od czasu zdarzeń któreśmy wam poprzednio opowiedzieli.

Zmieniło się wiele w tym roku!

Stanisław Wiecha już prawie nie ten sam co był, jakaś troska osiadła mu na czole, Marynia smutniała coraz więcej, Wincenty Jamróz wyprawiał coraz więcej krzyków i burd w gospodzie wiejskiej i zalewał się z rozpaczy nibyto bo ani bogactwo jego ani namowy rodziców, niezdołały Maryni nakłonić by mu oddała rękę — a nadzieja ta połączona ściśle z widokiem większego jeszcze zbogacenia się, o które głównie mu chodziło i pod tym względem z innych przyczyn, które opowiemy, zdawała się niknąć.

Grzegórz tylko pozostał prawie jednakim szył obuwie, tkał płutna, murował, heblował, piłował prawie gorliwiej jeszcze jak przez całe życie, i jakby mu z wiekiem sił i zapału przybywało — był wesół, przyśpiewywał przytem; w pracy pomagał mu Antoś, chociaż na nim znać było zawsze ukryty smutek.

Lecz mamy sposobność poznać powody tych zmian, a więc poznajmy je.

Znacie dobrze owe nieszczęśne przybytki po naszych miasteczkach, w których w czasie targów licznie nasz lud przebywać lubi, a gdzie często losu jego dopełnia miarka nieszczęsnego napoju i ręką, która go podaje.

W dużej a brudnej izbie widzimy szafkę za balaskami, za nimi także w czarny długi chałat przybraną a brodatą osobę z mycką na głowie, z naczyniem blaszanem w ręku;—dokoła ścian ławy i stoły, pod piecem gospodyni domu, drogie perły na brudnym i starym aksamicie u-nizane i upięte na jej głowie, — kończy zbrudzoną niebieską pończochę, z alkierza za głosem grubym, starym, urywanym jak bełkot indyka, dziwne obce głosy dziecięce, także napół bełkocące a pół wrzaskliwie śpiewające,— świecznik mosiężny u pułapu, śmiecia we wszystkich kątach pełno. Wiecie już gdzie jesteśmy. —

Spotykamy tam znajomych chociaż całkiem inaczej nam się przedstawiają, jak przy owej pięknej uroczystości.

Stanisław Wiecha w jednym roku coś za dużo pobielał, oczy niegdyś spokojne i rozumne dziwnie się świecą, twarz rozpłomieniona, ubranie jakoś już nie tak staranne, włosy pojeżone, spinki złotej nie ma!

Obok Stanisława, żona jego niby taka sama jak była, ale oczy i usta wykrzywione wesołością nienaturalną, nie tą co to płynie z serca, lecz taką, którą wlewa odurzający napój z blaszanki, z poza balasek owych.

Jest i Wincenty Jamróz. Wincenty znowu groźniejszy jak kiedykolwiek, twarz cała goreje płomieniem, oczy więcej jeszcze wysadzone, wąsy nasterczone okrutnie.

Posłuchajmy rozmowy:

— Co sobie ty żydzie, kasztanie, zła wiaro myślisz? co ty mi tu będziesz podawał półkwaterkiem, co to ja chłystek jaki, czy co? garniec stawiaj durniu przedemną, rozumiesz?—

Słowa te mówił Stanisław, ów niedawno jeszcze tak rozumny i poważny gospodarz!

— Aj waj! gospodarzu, Stanisławie, panie Stanisławie, nie gniewajcie się, rozkazujcie, ja słucham, cobym nie słuchał takiego gospodarza jak wy panie Stanisławie, — ny, ja tu sługa, wy pan, tu wasze słowo giltuje tylko — usprawiedliwiał się żyd.

Połechtało to dumę Stanisława, którąśmy już poczęści poznali.

— Ano, to tak się sprawuj,—ty myślisz, że mi żyto grad wybił a ziemniaki wygniły — to ja już taki lapserdak, jak ty głupi Icku?

Tutaj Stanisław targnął Icka nie bardzo łagodnie za ucho.— I to Icek zniósł cierpliwie, wtrącił jednak:

— Podobno i woły dwa padły Stanisławie?

— Padły, to padły, a tobie czarci do tego, i nie dwa padły — cztery padły — niech padną! zawsze ja sobie gospodarz, a ty żyd urwipołeć!—

— Ny, ja wiem, ja wiem, co mnie się równać z Wami!

Tu Stanisław widocznie ucieszony, że Icek, najpierwszy propinator w miasteczku, tak wysoce go honoruje, łyknął raz i drugi, a oczy zachodziły bielmem coraz więcej. Coś musiało jednak więcej tkwić w tem wychylaniu kielichów, bo przyznać trzeba, że Stanisław pierwszy raz w życiu tak obficie się zalewał. Jakby chciał dodać sobie odwagi, odchrząkał kilka razy, coś chciał powiedzieć a słowa zostawały mu jakoś w gardle; nareszcie zwrócił się raptem do Wicka:

— No pijcieno Wicku,— nie pijecienobo coś. —

Łyknął Wicek sporo.

— No — te — tego — Wicenty — jakże— będzie co z tego czy nie?

— Z czego? — odmruknął Wicek.

— A jużci z tej waszej żeniaczki. —

— Hm! — odkrząknął z kolei Wicek i zamilkł.

Milczeli chwilę obadwaj.

— Bo to się wlecze już sporo — dorzucił znów Stanisław.

— Ha, dziewucha nie chce i dobrze spojrzyć — już wiem co robić, ażeby łaskę zjednać prócz tego, ot co prawda, grad i do mnie trafił, wszak wiecie, że trudno chudoby będzie przezimować, jak tu myśleć o weselu; ot nareszcie Stanisławie i wyście.... wyście.... już nie tacy.... jakeście byli.

— Nie jacy?

— Gadają ludzie a i widzi się przecie oczyma, taż to grubo poszło majątku — a ja.... no ja przecież nie chłystek, żebym się z fartuchem żenił.

Maciej podskoczył na ławie jak oparzony.

— A toś ty taki mój Wicku! to ty rachujesz grosze moje jak żyd, a moje dziecko ci za nic? dziecko Stanisława Wiechy?.... krzyknął, wtłaczając gwałtownym i dumnym ruchem czapkę głębiej na głowę.

— Dobrze wiedzieć, dobrze wiedzieć — ciągnął dalej — jeszcze ja bez takiego jak wy zięcia, będę żył na świecie, a i moje dziecko nie zginie — takich Jamrozów dużo po ziemi

chodzi, a Wiechówna już tylko jedna, — dobrze, dobrze, — ale wam zdaleka od niej i od mojej chaty — raz na zawsze — bądźcie zdrowi!

Wicek bądźto chciał tylko wybadać jak stoją właściwie majątkowe sprawy Stanisława, bo jak z jednej strony pogorszyły się one widocznie, tak z drugiej szeptano znowu we wsi tajemniczo, że mu nic nie będzie, bo ma zakopane pieniądze, pełną skrzynkę, czy nawet beczkę po ojcach, ale nie wolno mu jej ruszać, aż mu ostatnie bydle padnie, — czyli zresztą przerażony dumną odpowiedzią Wiechy, dosyć, że Wicek się spostrzegł, iż głupstwo powiedział, a chociaż ze złości oczy wyskoczyły mu na wierzch, poprawił jednak:

— Ej nie tak ja to myślał Stanisławie, tylko myślał, ot poczekać, aż się trochę odratuję, i ja i wy, taż to wypada przecież takim jak my gospodarzom wyprawić wesele wspaniałe, coby gromada popamiętała, że to Jamróz u Wiechy się żeni.—

Temi obłudnemi słowy pogłaskał znów dumę Stanisława, udobruchał go, poczem już spokojniej rozważano, kiedy i jak ma się odbyć wesele; Wicek prosił tylko jeszcze i ojca i matki, aby rozmówili Maryni i pokonali jej upór, bo on już nie młodziak, aby pięknemi słówkami rzucał i dziewczynę rozmiłować mógł,

Matka dobrze podpita, całowana po rękach od Wicka, obiecywała, potakiwała, nie wiedząc dobrze co właściwie mówi, aż nareszcie oparłszy głowę na ścianie, usnęła.

Wstali nakoniec z ławy obadwaj — zbudzili kobietę, — wytoczyła się mało przytomna, wyszedł Wicek, Stanisław trochę z tyłu pozostał.

— Icku, ja dziś nie wziął z sobą pieniędzy — rzekł z cicha do żyda, który się był przysunął.

— Ny, to fraszka Stanisławie, u was pewne jakbym miał w skrzyni. ale.... panie Stanisławie, przepraszam bez urazy.... wy pamiętacie.... termin na te pięćset za tydzień, — no a na te dwieście, co to jeszcze i procent niezapłacony — to na święty Michał — szeznął żyd również cicho.

— Co? procent niezapłacony? a wszakże przywiozłem po żniwach trzy wory pszenicy, że i żona nawet nie wiedziała, a i jałowicęś wziął i płótna dwoje — to cóż ty jeszcze chcesz?

Hę, hę! — odpowiedział żyd z dziwnym uśmiechem, te pare ćwierci pszenicy, cielątko, ny to co? wy chyba żartujecie panie Stanisławie, procent Stanisławie, to są — pieniądze, spytajcie się w cesarskiej kasie, któż cielę będzie pisał na wekslu — to wstyd, to niewolno, to to wielki sztrof za to, ale to nic, to nic,— wyście mądry człowiek Stanisławie, spuszczam się na wasz delikatny rozum.

— Stanisławie! Stanisławie! wrzasnął z nadworza Wicek — a chodźcież już raz, co was tam przykuło?

Żyd znikł. — Maciej przerażony wybiegł czemprędzej za drzwi.

Owych zakopanych skarbów niestety chyba wcale nie było! — bo Stanisław spuścił oczy w ziemię i wracał smutny i milczący do swego wspaniałego domu.

Ubiegło kilka znowu miesięcy, niestety gorszych jeszcze i smutniejszych dla rodziny Wiechów. —

Zajrzyjmyż po raz drugi do ich domu, bo nigdzie tak jak w mieszkaniu człowieka nie można zgłębić, jakie tam zapanowało uczucie, jakie dojęło nieszczęście.

Spotykamy tylko matkę i córkę; Stanisław zadumany i zły wyszedł był przed chwilą, bo przyszło mu upokorzyć się — upokorzyć przed człowiekiem, który jakkolwiek zamożny, nieużywał we wsi tego szacunku, jak niedawno jeszcze on sam. —

Ale posłuchajmy rozmowy, a dowiemy się o co chodzi.

Matka siadła na ławce przed obrazem Bogarodzicy, tej niebieskiej Pani, która do niedawna jeszcze według szczerej jej wiary uśmiechała się domowi temu i rodzinie łaską swoją świętą, a dziś tak widocznie ją odwróciła od chaty Stanisławów; obok przysiadła córka blada, zapłakana i posępna.

— No widzisz Maryniu moja, trudna rada, tak Bóg chciał, — ojciec się biedzi i gryzie, codzień więcej niemowny, a.... Maryniu dziecko moje — od ciebie zależy odwrócić biedę, może wstyd dla naszego domu, który dotąd tak wielkie miał u ludzi poszanowanie, nie bądź twarda, miej litość nad ojcem a i nademną, weź odwagi do duszy, nie upieraj się wyjść za Wicka, on bogaty, on poprawi naszą dolę, odżyjemy,— uspokoi tych szachrajów, którzy bodaj czy nas na wieki zgubić nie myślą.

Marynia milczała, patrzyła nieruchomem okiem przed siebie, łzy puściły się strumieniem po pięknem choć zbiedzonem jej licu, poczęła łkać i w końcu upadła głową matce na kolana.

— Uspokój się Maryniu, dziecko moje!— tuliła matka.

Marynia długo nie odpowiadała, nareszcie podniosła spłakaną twarz i odrzekła cicho:

— Matusiu.... ja.... zrobię, czego po mnie żądacie,

Widocznie wiele, bardzo wiele bolu i żalu spłynęło w serce poczciwej dzieweczki, bo po chwili zaczęła szlochać na nowo, jeszcze żałośniej, jeszcze goręcej, aż w słowach ulżyć sobie musiała.

— Och! matusiu moja! gdzież szczęście, gdzie życie moje, gdzie nadzieje moje!... z tym człowiekiem!.... mój Boże — a wszakże to ludzie mówią i nie bez przyczyny, że Wicek żonę swoję, nieboszczkę Basię w złości swej zamęczył i ubił, a wiecie, wszakto była potulna, cicha, dobra kobiecina, którą znałam i kochałam jak i wy – wielki Boże! a mój Antoś, taki poczciwy i zacny — Wszak wam nie tajno matusiu, że kocham go od dawna, że myślałam o szczęściu z nim — z nim tylko! w cóż on biedny się obróci gdy mu złamię wiarę, ja, którą on tak kochał i w którą tak wierzył.

— Cyt, cyt dziecko — co począć, kiedy Bóg tak zesłał, żałości serca miną, a my znów będziemy szczęśliwi, — do Wicka przywykniesz, ludzie więcej często mówią jak prawda — uspokajała matka, choć widać było, że nieszczerem sercem, bo i ona lękała się Wicka i jego gwałtowności; w końcu dodała:

— Wiedziałam Maryniu, że ustąpisz, że się za nas ofiarujesz; to też powiedziałam ojcu, aby poszedł do Wicka i raz z nim skończył.

Stanisław, dumny Stanisław, rzeczywiście udał się do Wicka, który jakoś coraz rzadziej nawiedzał chatę jego, – udał się do niego, aby mój Boże! prosić go poniekąd, iżby wziął sobie córkę, a za to sypnął pieniądzmi, których Stanisław coraz mniej miał, a coraz więcej pożyczał, wydawał, a zwrócić nie był w stanie.

Przyczynił się do tego przykrego stanu głównie sam Wicek, który towarzystwem swojem i upodobaniem w gorących napojach, wciągnął był Stanisława w owe brudne zakąty i wtrącił w chciwe ręce żydowstwa.

A żydkowie wzięli się tak zwykłym a tak zawsze dla nich łatwym i pewnym sposobem do Stanisława.

W nagłej jakiejś chwilowej potrzebie, którą znany nam już Icek w sam raz dostrzedz umiał, podsunął mu zręcznie swoją chęć i gotowość zapomożenia go. — Stanisław wahał się zrazu, ale przyciśnięty wziął, wziął niewiele, choć żyd więcej mu wtykał, podpisał przytem kartkę niemiecką napół drukowaną, której ani rozumiał, ani znał jej doniosłości. Przy podpisie zacnego swego imienia, jakto zwyczajem jest włościan naszych, położył znak krzyża.

Przyszedł termin oddania — pieniędzy nie było — żyd nie nalegał, owszem ofiarował większą kwotę, wspomniał coś o malenkim procencie, bo tylko dwa centy od reńskiego na tydzień a nawet i tej drobnostki płacić nie trzeba, tylko przypisać i podpisać.

Stanisław wziął znowu — podpisał. Grad w tym roku wprawdzie nie padał, bydło nie ginęło, ale mróz wiosenny zważył żyto w kwiecie, nastała posucha, zboża rzadkie i nikłe nie rokowały urodzaju.

Nowe kłopoty. Stanisław już sam nie wiedział co począć.

Poszedł do Icka.

— Panie Icku, panie propinator — bo tak już grzecznie przemawiał Stanisław do tego, którego niedawno targał za uszy — jabym was jeszcze prosił.

Tu jednak żyd niespodziewanie ofuknął się.

— Co wy sobie myślicie Stanisław? aj waj! czy wy chcecie mnie zgubić z mojemi dzieciami? a ja was nie dość ratował? a co ja mam z tego? ani moje krwawe pieniądze, ani procent — och! gdzie moja ciężka praca; wy mnie zniszczyli do szczętu, ja u drugich pożyczał, żeby wam dać, jaki wy gospodarz? gdzie wasze słowo? macie wy sumienie, taką ciężką krzywdę czynić mnie — którym szedł po sprawiedliwości?

Stanisław struchlał. O sumieniu i sprawiedliwości miał inne całkiem pojęcie; to sumienie pod tym względem nie wyrzucało mu nic, wynosił bowiem z chaty, co tylko miał i pchał w żyda, aby go spokoić za niedotrzymane terminy. —

Żyd był uparty, nie dał; chciał siać grunt na spółkę w procencie, Stanisławowi wstyd było, nie przystał.

Nieszczęsny do innych poszedł żydów.

Ci byli łaskawsi, dawali po trosze, boć to grunt Stanisława sławny był w okolicy, a w dobrym roku sowicie się opłacał. Podtrzymywała lichwiarzy zresztą nadzieja, że bogaty Wicek weźmie córkę jego i długi spłaci.

Tak mnożyły się owe złowrogie karteczki niemieckie; biedny Stanisław coraz więcej się zalewał, a kładł bez namysłu i rozwagi na nich podpisy i znak krzyża, znak tego krzyża, którym zacny ksiądz błogosławił niedawno jego chatę, którym błogosławił jego pracowitą rękę, a który to święty znak tą samą ręką nakreślo-

ny, walał się dziś w brudnych żydowskich kieszeniach.

W takich to' troskach udawał się pognębiony Stanisław do Wicka, — nie dziw, że był ponury i smutny.

Odetchnąwszy ciężko, wyprostował się trochę Stanisław, obejrzał się, wstąpił we wrota zagrody Wickowej.

Tu uderzył go przeraźliwy jęk.

Jęk ten wydawał młody parobczak, który stał przy wołach obok wozu, Wicek nielitościwie okładał go biczyskiem.

Potrzeba wam bowiem wiedzieć, że Wicek o ile wydawał się na pozór hojnym w szynkach i przy napitkach, o tyle był chciwy i skąpy w domu, a za najdrobniejsze przewinienie, sługi swoje karał surowo.

Strasznym był Wicek w tej chwili, zdawało się, że mu krew z liców wyskoczy, roziskrzone oczy strzelały jadowitym jakimś płomieniem, żylasta ręka podnosiła się i spadała, a gęste, nieliczone razy, padały na nieszczęśliwego chłopaka.

Okropny widok!

Na szczęście spostrzegł okrutnik ten Stanisława. Ręka podniesiona opadła; Wicek rzuciwszy biczysko, odwrócił się ze złością, która jeszcze w nim kipiała i rzekł gburowato:

— Czego tu chcecie o tym czasie?

— Ta — nic Wincenty — jąkał Stanisław, ta chciałem was odwiedzić — zobaczyć, jak się macie.

— Odwiedzić? zobaczyć? jak się mam?— a mam się — ot widzicie jak się mam, — ten drab, niepoń, próżniak, zgubił znów lonik od wozu, ma się tu człowiek mieć, zagubią łotry wszystko przed czasem, — a no.... chodźcie do izby, skoroście już przyszli.

Weszli. Stanisław nie wiedział co począć— wolałby był nieprzychodzić niż być tak odpychająco przyjętym. Chwilkę jedną powziął myśl uciec stamtąd natychmiast, nie mówić po co przyszedł, wrócić do domu, zostawić wszystko opiece boskiej. Zawachał się jednak, pomyślał o skardze żydów, sądzie, wstydzie, o stracie szacunku i ojcowizny, a chwilka jeszcze a przepomógł dumę i rzekł:

— Wincenty, ja tu przyszedłem do was po interesie, chcę z wami ostatecznie się rozmówić, o czem — to już wiecie — Bóg na mnie dopuścił różne klęski — prawda, mam długi, trudno mi się wypłacić, ależ tak źle nie jest, grunt mój znacie, chudoby jeszcze trochę jest, ja już stary, tracę jakoś rozum i odwagę, — wy Wicku — wy silny i zdrowy; gdybyście raz już się namyślili.

Wicek nie odpowiadał, Stanisława zapiekło w samem sercu, nie namyślał się więc i dodał.

— A jeżeli się wam niepodoba — jak chcecie — muszę sobie radzić inaczej.

— Inaczej radzić? — odrzekł teraz Wicek, inaczej radzić? — a radźcie sobie, albo ja wam bronię? — a zresztą, albo ja to nie wiem co się dzieje? że wisicie po wszystkich żydach — wielkie sumy! — a słyszę i skarga w sądzie już jest, — ot radźcież sobie — ale i toby mniejsza, bo tu u mnie, choć ja nie z takiego wielkiego rodu jak wy, ale chwała Bogu, tu jest w skrzyni! możnaby takiemu biedakowi jak wy dopomódz — gdybym chciał — ale ja nie chcę, wyraźnie wam wówię, nie chcę! — a to wy myślicie, że ja ślepy, że ja nie mam oczów ani uszów? że ja nie wiem, jak tam ta wietrznica córka wasza Marynka, wieczorami całemi i godzinami z szewczukiem Antkiem w potoku pod dębami sobie się weseli?

Tu łypnął Wicek straszliwie oczyma — i wielkim głosem już nie mówił, ale krzyczał:

— A, dobrze tak, dobrze!—niech ta szewska żyła, ten żebrak i koszlawy tatuś jego, pomoże wam, kiedyście ślepi na dziecko swoje— a mnie na co leść w taki dom? w domu golizna, dziewka trzpiot — a nużby Chryste panie... kiedy ... coś podobnego ... a ja przecie żywy i krew mam w sobie nie barszcz — a nużbym ja porwał kołu, a niezważając w które miejsce — uderzył....

Tu Stanisław nieszczęśliwy chwycił się ręką za serce, nie odrzekł słówka, porwał za czapkę, wybiegł jak szalony i wpadł do izby domu swego, nieprzytomny prawie.

Czapkę i kij cisnął gwałtownie o ziemię, na żonę i córkę ani spojrzał, rzucił się na ławę, oczy stanęły mu słupem, milczał — blada twarz drgała niewypowiedzianą boleścią.

Tak siedział nieruchomy długo — długo!

Wreszcie zwiesił głowę, dumał — wydobył zwolna z zanadrza fajkę, nałożył, skrzesał ognia, fajkę włożył w usta, wyprostował się trochę — dym kłębami z ust wychodził. — Jednak fajka wnet zgasła. Stanisław oczy nieruchome wlepił w kąt izby, w krzyż, — który tam wisiał nad łożem.

Ani żona, ani córka nie poważyły się przerwać milczenia, czuły przelęknione, że coś strasznego spotkać musiało męża a ojca.

Po długiej chwili odważyła się przemówić Stanisławowa:

— Cóż wam to mężu — Stanisławie mój? co się stało? odpowiedzcie przez Boga!

Tu porwał się Maciej jednym rzutem z ławy, stanął groźny a przeraźliwie zawołał:

— Co się stało? wy nie wiecie? patrzaj! świętoszki! trusie! nie wiedzą! wy gady obrzydłe — to się stało! że ty głupia matko i ty odrodna córko zgubiłyście mnie — mój dom, moje gospodarstwo, moje imie, moje życie! ha! wy nie wiecie! — a toż trzeba tobie chodzić po nocy pod dęby, a grzesznie czas sobie milić z szewcem łajdakiem, żebrakiem — podczas gdy ojciec w smutku i boleści — a nie dla siebie — dla was potwory! — a ty nie wiedziałaś nic o tem ślepa kobieto? — wiedziałaś, dobrze wiedziałaś o wszystkiem, aleście się zmówiły obie na moje nieszczęście, aby srom i nędzę zwalić na moją siwą głowę, na waszego Ojca i Opiekuna! — Idźcież; idźcie teraz szukać pomocy tam, u szewskiego łyka — u szewskiej skóry — tam do tej psiej budy, gdziebym trzody mojej zamknąć nie chciał!

Kobiety pobladły ze strachu, a Stanisław nie przestawał wyrzekać i jak to zwykle bywa, że kto sam czuje w sobie winę, a sumienia uspokoić nie może, zwala tę winę na drugich, chociażby niewinnych.

Zapomniał zresztą Stanisław, że mówiąc z taką pogardą o poczciwej chatce Grzegorza, nie miał już w swoim majątku owej trzody, którąby potrzebował zamykać.

Na domiar wszystkiego nie mogło się nieszczęśliwiej wydarzyć, jak to, że w tej właśnie chwili otworzyły się drzwi, a przez próg przeszedł a raczej przekulał nikt inny, jak — stary szewc, Grzegórz Kopytko.

(Dokończenie nastąpi.)

Módl się i pracuj.

Módl się i pracuj dziecino droga,
Jak tylko poznasz świat wielki,
Módl się i pracuj w nauce Boga,
Gdziekolwiek jesteś w czas wszelki.
Módl się i pracuj młodzieńcze miły,
Bo Bóg cię stworzył do pracy;
Módl się i pracuj ile masz siły,
Jak dawniej bracia Polacy.
Módl się i pracuj dziewico młoda,
Bądź skromną zawsze w twem życiu;
Pamiętaj, że ci Bóg łaski doda,
Gdy będziesz jak kwiat w ukryciu.
Módl się i pracuj mężu czcigodny,
Gdyż doświadczyłeś już wiele,
W ten sposób żyjąc, będziesz swobodny,
Nie doznasz cierpień na ciele.
Módl się i pracuj niewiasto tkliwa,
Wychowuj dziatki krajowi;
A tem dasz dowód, żeś jest życzliwa
Ojczyźnie i narodowi.
Módl się i pracuj starcze zgrzybiały,
Udzielaj rady w potrzebie,
A młodzi widząc włos posiwiały,
Będą czcić i wielbić Ciebie.
Módl się i pracuj każdy w swym stanie,
Bo modły i praca celem
Żywota twego, który się stanie
Miłem dla ciebie weselem.
Módl się i pracuj w pokorze ducha,
Ktokolwiek jesteś bez wiary,
Szczęśliwy ten jest, kto Boga słucha,
Kto wdzięczny za jego dary.
Módl się i pracuj dla dobra swego,
Będąc dalekim od błędów,
Lecz módl się, pracuj i dla bliźniego,
Nie szukaj w tem żadnych względów.
Stwórca zaś widząc twe poświecenie,
Szczęściem cię już tu zbogaci;
Módl się i pracuj na twe zbawienie
Bo On ci pewnie hojnie zapłaci.

Józef Kamiński.

Przepowieści króla Salomona.

Synu mój! karania Pańskiego nie odrzucaj, — i nie uprzykrzaj sobie ćwiczenia Jego;

Bo kogo Pan miłuje, tego karze, a to jako ojciec, który się w synu kocha. (III, 11. 12).

Kto to czyta, niech dobrze rozważy!

Co słychać w świecie?

— Cesarz wyjedzie do Wenecyi i Dalmacyi już d. 1 kwietnia z Wiednia. Towarzyszyć mu będzie hr. Andrassy. W sierpniu zaś odbędzie cesarz podróż do Galicyi i Bukowiny. — Powodem tej podróży jest 100-letnia rocznica przyłączenia Bukowiny do Austryi i założenie uniwersytetu w Czerniowcach. — W Krakowie i Lwowie ma cesarz zabawić po parę dni.

— Przemyska Rada powiatowa została przez Namiestnictwo rozwiązana za nielegalne nieuznanie dwóch wyborów z kuryi włościańskiej.

Wiadomo Wam już, że sejm krajowy zwołany na dzień 8 kwietnia. Zjadą się więc znowu posłowie i będą radzili nad dobrem kraju. Tym razem jednak nie będzie w sejmie przewodniczyć książę Sapieha, ale hr. Alfred Potocki, dawny minister, gdyż dotychczasowy marszałek sejmu ks. Sapieha od dłuższego czasu zapadając na zdrowiu, prosił cesarza, by go uwolnił od godności marszałka.— Cesarz zaprosił p. namiestnika do Wiednia i tam uradzono, aby wybrać na marszałka i prezesa Wydziału krajowego p. hr. Potockiego.

Wiedeń. Ustawa o gminnych urzędach rozjemczych, uchwalona roku zeszłego przez Sejm Galicyjski, uzyskala najwyższą sankcyę (potwierdzenie cesarza).— Z wejściem w życie tej ustawy, wchodzi w wykonanie ustęp 27 ustawy gminnej, nadający gminie prawo jednania stron spornych przez mężów zaufania z gminy wybranych. Doświadczenie uczy, że bardzo wiele spraw, zostają załatwione dobrowolną ugodą, a tym sposobem unika się kosztów na stęple, ułożenie skargi, podróż do sądu itd., a koszta te upadają według sądu rozjemczego, a tym sposobem zmniejszy się liczba sporów sądowych, i spór w krótkim czasie załatwionym zostaje.

— Br. Wittmmann prezes sądu w procesie Ofenheima i hr. Lomezan prokurator, otrzymali ordery żelaznej korony trzeciej klasy.

— P. Giskrze dano do zrozumienia, że przestał być „hoffähig, tj. utracił prawo bywania u dworu.— Prawo to posiadał on jako tajny radca i właściciel orderów. Popadł zaś w niełaskę osobliwie od czasu procesu Ofenheima.

— W Berlinie spodziewają się, że car w maju odwiedzi dwór tamtejszy. Utrzymuje się też mniemanie że w czasie pobytu cara w Ems tego lata, odbędzie się zjazd trzech cesarzów.

— O nominacyi arcybiskupa Ledóchowskiego kardynałem, pisze rzymski korespondent: „Jeżeli się nie mylę, jestto od półczwarta wieku pierwszy przykład, ażeby podobny zaszczyt spotkał uwięzionego prałata.— W swoim czasie był nim biskup Fischer z Roshester, uwięziony przez Henryka VIII angielskiego, którego papież Paweł III mianował kardynałem, a ów okrutny reformator ściąć go kazał.— Dziś miejmy nadzieję, że kardynał Ledóchowski długo jeszcze będzie ozdobą kościoła.

Nie pierwszy to raz spotyka prymasów polskich godność kardynalska, bowiem ks. arcybiskup Leduchowski jest 15 kardynałem polskim. Gdy jednak tę wysoką godność wkładano na jego poprzedników, znajdowali się oni w szczęśliwszych warunkach, bo mieli wolną ojczyznę i kościół wolny od prześladowań. a dziś kardynał siedzi w więzieniu w zaborze pruskim, dokąd go przemocą wrzucili Prusacy za to, że nie chciał uznać ich praw, szkodliwych dla kościoła.

Niemcy-lutrzy i Bismark są źli z tego powodu na papieża; przemyśliwają więc. jakby zemścić się i przeszkodzić jeśli nie mianowaniu kardynałem hr, Ledóchowskiego, to temu, aby nadal papież nie mógł wydawać rozkazów przeciwnych cesarstwu niemieckiemu.

— W Hiszpanii dotąd nie ma końca wojnie. Don Alfons obwołany, jak wiadomo królem, prowadzi wojnę z Don Karlosem. Wojska spotykają się często. ale Don Karlosowi jakoś lepiej idzie, bo niedawno temu pobił Alfonsa, a nawet omal że go nie chwycił samego. — W ostatnich czasach chciał jeden z dowódzców wojska Don Karlosa, nazwiskiem Kabrera, namówić wojsko swego króla, by się przyłączyło do Don Alfonsa, ale zdrada nie udała się — a Don Karlos dalej prowadzi wojnę.

— W Rosyi zmuszają dalej to głodem, to zimnem to biciem biedny lud ruski do przyjęcia schyzmy. Donoszą, że są wsie, gdzie nie ma prawie jednego chłopa, któregoby nie katowano. Mimo to mówią Moskale, że lud dobrowolnie przyjmuje schyzmę.

Rozmaitości.

— Z powodu burz morskich rozbijają się okręta za okrętami. Na morzu północnem rozbił się parowiec Prinzess. W porcie Darwina (Australja) utonął parowiec Gothenburg z 120 ludźmi. Na wysepce Banka (Australja) rozbił się parowiec Normandia. Na czerwonem morzu żaglowiec Honkong, a w porcie Tryestu bryg Andrea niedawno się rozbiły. Zima była straszną dla żeglarzy; kto wie co wiosna z sobą przyniesie.

— Najnowsze obrazy malarza polskiego Matejki: „Dzwon Zygmunta“ i „Iwan Groźny“ wzbudzają znowu powszechny podziw. Pierwszy przedstawiający Zawieszenie dzwonu wobec dworu Zygmunta, został d. 15 b. m. przeniesionym z wystawy wiedeńskiej do paryskiej. Drugi przedstawiający Iwana Groźnego wracającego po sądach z cerkwi przez plac tracenia, wywieziony został na wystawę do Wiednia.

— Cieszyć się wypada, że ludzie coraz więcej wyrzekają się wódki, owej truciizny zdrowia i mienia. Oto w Karławie pod Śniatynem włościanie przysięgli uroczyście, że żaden nigdy się nie upije. — Włościanie tam bardzo gospodarni, zapobiegliwi; mają swą własną kasę gminną, w której się około czterech tysięcy reńskich znajduje.

Zapiski gospodarskie.

— Sposób odróżnienia dobrych grzybów od złych. Biegłość w rozróżnieniu dobrych od złych grzybów, jest wielce potrzebną, albowiem niewiadomość albo nieuwaga, sprowadzić mogą łatwo otrucie. W tym celu cebula obrana z wierzchniej łupy i rozkrajana na cztery części gotuje się na przekonanie. Jeżeli po zgotowaniu cebula nabędzie koloru niebieskiego lub ciemnego, to będzie dostatecznym znakiem, że grzyby są szkodliwe, jeśli zostanie białą — grzyby są dobre.

Od Redakcyi.

Z dniem 1 kwietnia rozpoczyna się nowy kwartał. Upraszamy zatem Szanownych Czytelników o odnowienie prenumeraty. Tych zaś Szanownych Panów Czytelników, którzy dotąd nie uiścili zaległej przedpłaty, upraszamy o pamięć i o wyrównanie takowej, oraz o życzliwe popieranie naszego Wydawnictwa.

Wydawca S. Jordan.
Redaktor odpowiedzialny *Jan Krawecki.*

W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.